

**Radosław Zenderowski, *A(na)lfabet bałkańskiego (u)czucia.*
Pierwsza na świecie książka powstała bez udziału autora,
nakład własny autora, Cieszyn 2023, ss. 192 + 39 il.**

(Marcin Dębicki)

**O naukowości rzeczy pozornie nienaukowych.
Uwagi na marginesie najnowszej książki
Radosława Zenderowskiego**

To chyba całkiem zwyczajne, że badacz, który przeszedł już wszystkie szczeble w krajowej hierarchii nauki, decyduje się... zrobić coś dla niej – tyle że przy użyciu innego niż dotąd instrumentarium. Tak właśnie sprawy się mają w przypadku najnowszej książki Radosława Zenderowskiego *A(na)lfabet bałkańskiego (u)czucia*. Choć w sposób celowy i wyłożony wprost wyraźnie odbiega ona – metodologicznie, kompozycyjnie i stylistycznie – od tego, „czym i jaka powinna być praca naukowa” i choć w wielu miejscach utrzymana jest – jak to kiedyś ujął sam autor – w duchu „przygodowo-awanturycznym”, to jednak czytelnikom, w tym także badaczom, wciąż oferuje całkiem sporo, i to wyłącznie w duchu *non-fiction*. Poza tym trudno jednak określić, czym ta książka jest. Jawi się ona jako swoista osobista bałkańska encyklopedia, z hasłami czasem nieco rozbudowanymi, nierzadko też będącymi taką trochę dłuższą migawką. Jednak niezależnie od nienaukowej i nieoczywistej formy, stawia ona wiele poważnych kwestii, porusza szereg ciekawych wątków, rozbudza apetyt, prowokuje do namysłu – także tych, dla których Bałkany są zagadnieniem poważnym i całkiem naukowym.

Również określenie gatunkowej przynależności poniższych akapitów nie jest sprawą łatwą. Nieco kapitulansko zadeklaruję więc tylko, że skoro R. Zenderowski, ułożywszy swój *A(na)lfabet...*, mógł obwieścić w jego podtytule, że jest to „[p]ierwsza na świecie książka powstała bez udziału autora”, to ja pozwałam sobie napisać recenzję, która nią nie jest, choć nosi gatunku tego niemałe znamiona. W przypadku takiej książki niby nie ma akademickiej presji – ale czy to ułatwia recenzentowi sprawę i zmniejsza ryzyko niepowodzenia? A może, trzymając się ortodoksyjnie przesłania tytułu niniejszego tekstu, oddzielić nienaukową formę od treści, które mają naukowcom co nieco do zaoferowania? Ależ to byłoby wbrew nie tylko intencji samego autora, ale i istocie książki! Może więc dać się ponieść jej niezobowiązującej formie, jakakolwiek by ona nie była? Tylko jak wtedy „na poważnie” pewne jej momenty doceniać, a inne krytykować? Echa tych

dylematów pozostawiam pod postacią języka swojej wypowiedzi, która niekiedy mimowolnie podążała za stylistyką autora, jednak zasadniczo muszę przyznać, że nie znajduję tu dobrego rozwiązania, a tymczasem przemilczeć tej książki też nie wypada.

Balkany teoretyczno-metodologiczne

Radosław Zenderowski sprawia wrażenie, jakby nie mógł uwolnić się od choćby namiastki perspektywy naukowej, choćby nawet miała przyjąć formę pastiszu. Tradycyjnie, bo na początku książki, kilka słów poświęca więc kwestiom teoretyczno-metodologicznym, tyle że ujętym poniekąd *à rebours*. Deklaruje zatem, że pisząc ją, posługiwał się kilkoma metodami badawczymi:

komparatystyczną (gdyż porównywałem idiotów z ludźmi mądrymi), behawioralną (gdyż śledziłem z uwagą powtarzalne zachowania starych ludzi przesiadujących na ławeczkach przed domostwami, z tymi, którzy siedzieli do nich odwrócenii plecami), systemową (gdyż Balkany stanowią system zamknięty, a jak się tylko rozszszczelnia, to cała Europa ma wtedy problem); instytucjonalną (gdyż podróżowałem koleją żelazną, która jest instytucją *par excellance*) (s. 15-16).

Od razu więc należy dodać, że w spisie tym brakuje jeszcze jednego, ważnego dla książki podejścia – autoetnografii. Co prawda narrator subtelnie i niedwuznacznie o niej napomknął, jednak zatrzymał się jakby w pół drogi: „dopiero po 20 latach odkryłem, że moje podróże na Balkany od samego początku były próbą autoterapii i zrozumienia – a może raczej zagłuszenia – tego, co mnie psychicznie przerasta, zatrważa i zniewala” (s. 15), nie nazywając rzeczy po imieniu (zapewne celowo). Tymczasem książka jest właśnie w niemałej mierze zapisem przynajmniej niektórych spośród stanów, którymi badacz i badany w jednej osobie zajmuje się w ramach ewokatywnego nurtu autoetnografii, zdolnego przy tym do wytworzenia „profesjonalnej wiedzy antropologicznej”¹. Jednocześnie autorowi nie brakuje zacięcia analitycznego, typowego dla drugiej z odmian autoetnografii, manifestującego się potrzebą i umiejętnością dokonania syntezy (niekiedy mocno deterministycznej – jako efektu obranej i z lubością praktykowanej, permissywnej formy wypowiedzi), zaproponowania własnych, choćby wstępnych, ram do ujęcia bałkańskości opisywanych ziem i ludzi. Już w tym miejscu otrzymujemy zatem sygnał, że możliwa jest (auto)psychologizacja, która ma właściwości znacznie więcej niż tylko terapeutyczne.

¹ K. Kalinowska, *O autoetnografii dotknięć, zranień i odkształceń*, „Kultura i Społeczeństwo” 2017, nr 3, s. 23-25.

„Miałem zwyczaj dosiadania się do starych ludzi na dworcach kolejowych, autobusowych lub w parkach i zadawania jednego lub dwóch pytań i zasłuchiwania się w ich opowieści o życiu” – zdradza tajniki swego warsztatu R. Zenderowski (s. 13), wykształconego podczas trzech dekad włóczenia się po Europie Środkowej i Bałkanach. Można, choć chyba nie warto, kpić sobie z tej autorskiej techniki pozyskiwania materiału empirycznego, lepiej jednak pozazdrościć tej umiejętności, gdyż obrane podejście – swoista mieszanina wywiadów swobodnych, narracyjnych czy biograficznych, wsparta obserwacją i specjalistyczną wiedzą socjologiczną i politologiczną, w tym bałkanologiczną – zaowocowało treścią oryginalną i niebagatelną. Jednocześnie wydaje się, że Bałkany te, gdy chodzi o głębię niektórych haseł, zostały przed nami odkryte tylko w niewielkim stopniu; czasem, jak w przypadku Suboticy, naprawdę chciało się przeczytać więcej. Skromne dziesięć stron poświęcone kolejowym klimatom, podniesionym przecież w książce do rangi osobnego rozdziału, to nad wyraz mało, szczególnie jeśli na poważnie traktować deklarację autora, że pisząc książkę, stosował metodę instytucjonalną... Na pocieszenie pozostaje świadomość, że pociągom R. Zenderowski poświęcił sporo miejsca również w innych częściach książki. Ale też, jeśli hasłu tak potężnemu jak „Jugosławia” poświęcił on dokładnie szesnaście linijek, a wielu innym (jak „Kosowo”) – nie więcej niż drugie tyle, znaczy to, że po prostu należy tu poszukać właściwego klucza interpretacyjnego.

Profesor Zenderowski w swym *A(na)lfabecie*... pełną piersią oddycha swobodą, jaką daje naukowcowi tego typu forma wypowiedzi. Jako akademik przeczytał już na temat Bałkanów całkiem sporo, jako świecki pielgrzym wielokrotnie zjeździł je wzdłuż i wszerz, a podczas tych podróży – także jako *flâneur* – wiedzę podręcznikową konfrontował z zapachami, odgłosami i klimatem ulicy. I osiągnął stan, w którym nagromadzone obserwacje, doświadczenia i intuicje musiały eksplodować, przepoczwarzając się w ten typ uogólnień, na które zwykle zezwala się literatom, ale od których naukowcy winni trzymać się z daleka, o ile nie chcą narazić się na zarzut zbytnej metaforyzacji, nieuchwytności i esencjonalizacji swych wypowiedzi. Weźmy taką oto migawkę z Belgradu: „Serbowie zarazili się megahistoriowirusem od Węgrów. Wszyscy są nim zarażeni, a szczepionki nigdy nie będzie” (s. 60), a już opis samych Madziarów czy szerzej – cały rozdział „Bałkańskie narody” – to wręcz kwintesencja i absolutyzacja esencjonalizmu. Jakby narrator chciał swym krytykom i samej naukowej poprawności rzucić w twarz: a teraz powiem wam wprost, jakie te Bałkany są naprawdę i co o nich myślę.

Z częstego i ostentacyjnego absolutyzowania, i to w odniesieniu do narodowości, autor uczynił zabieg literacki służący podkreśleniu nie całkiem poważnego charakteru pracy; figurę retoryczną, która zresztą, gdy nadużywana, zaczyna uwierać. Ustawiając swą narrację w taki sposób, trzeba być impregnowanym na krytykę stosowania wielkich kwantyfikatorów, których w książce znajdziemy bez liku. Jednak nie warto iść tą drogą i rozliczać narratora z podobnych zabiegów,

tym bardziej że i ryzyko wpadnięcia w pułapkę zastawioną przez niego samego na takiego czepialskiego jajogłowego jest tu znaczne. Warto natomiast, gdy już spod swobodnej formy wypowiedzi wydobędziemy sól treści, gdy już uświadomimy sobie, że *gros* migawek pochodzi z realiów wiejskich i małomiasteczkowych (i taki też zapewne mają one zakres obowiązywania) – podjąć refleksję nad historią długiego trwania, niekiedy przechodzącą w jakąś postać determinizmu, i nad pytaniem, czy potępienie w czambuł istoty charakteru narodowego (pod jakąkolwiek nazwą zjawisko to miałoby wystąpić), także w kształcie uwzględniającym szereg formułowanych pod jej adresem zastrzeżeń, jest na pewno zawsze uzasadnione. Warto też, niejako biorąc w nawias granice państwowe, poszukać tego, co miałoby charakteryzować Bałkany jako całość.

Bałkany – z głowy, od serca i „z jajem”

Trzymając się tego, co nam podano, na kartach *A(na)lfabetu...* można wyróżnić kilka nieprzypadkowych dłań wątków. Znając choć trochę tematycznie-etnograficzne skrzywienia i poznawcze fascynacje bałkanologa z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, spis ten nie może obejść się bez co najmniej kilku wątków, które przewijają się zresztą przez wiele stron książki, a jednocześnie zostały podniesione do godności odrębnych haseł. Od razu przyznam, że bardziej inspirujące okazały się dla mnie wątki syntetyzujące dany wycinek bałkańskości – zwykle napisane błyskotliwie, „z długim oddechem”, w niebanalnym ujęciu problemu, nawet jeśli wraz z posuwaniem się narracji (i postępami lektury) coraz mocniej zasklepiające się w najbardziej wdzięcznych dla autora kontekstach i zabiegach poznawczych – i nim poświęcam poniżej uwagę. Nie zmienia to faktu, że również te hasła, w których autor skoncentrował się na szczegółach, doświadczeniach z życia wziętych, osobiście „wychodzonych” i przerobionych na własnej skórze – podczas stacyjnego noclegu, podróży stopem, w zadymionej knajpie, w ramach policyjnego zgłoszenia i in. – wiele wnoszą do rozumienia sprawy. One też będą zapewne znacznie łatwiejsze do przyswojenia dla osób ceniących sobie indukcyjny model wnioskowania.

Zasadniczą część książki nieprzypadkowo otwiera hasło „Offroad” – autorско i niebanalnie przetłumaczone jako „Zadupie”, w czym miałoby się zawierać zachodnioeuropejskie spojrzenie na Europę Środkowo-Wschodnią, która – z tej drugiej (wschodniej) strony patrząc – jest z kolei „przeddupiem” (s. 35). Fragment ten, niczym swoiste *intro*, wprowadza czytelnika w treść i ducha książki, gdyż wiele z tez tutaj podanych skrótowo jest rozwijanych dalej. Wtedy też można się zastanowić, czy punkt ten rzeczywiście miał dotyczyć całej Europy Środkowo-Wschodniej (od, powiedzmy, Estonii i Białorusi, przez Mołdawię, po Grecję), czy tylko Bałkanów.

Ktoś, kto zajmuje się naukowo Europą Środkową i Bałkanami, musiał nieraz rozważać kwestię przebiegu granicy pomiędzy obiema krainami. Podejście zaserwowane w książce nieprzypadkowo opiera się o smaki, zapachy i estetykę muzyczną (s. 28-29), a więc w zbieżności ze słowami czeskiego eseisty Josefa Kroutvora, który rozważając, gdzie kończy się i gdzie zaczyna Europa Środkowa, zapisał, że granice te „są nieostre, irracjonalne i tylko węch pozwoli je wytyczyć z całkowitą pewnością”². R. Zenderowski ma na uwadze zarówno samo to przesłanie, jak i jego autora, w formie mniej i bardziej zakamuflowanej, bo dostosowanej do lokalnych uwarunkowań kulinarnych (s. 174, 66).

Tego typu konceptualizacji znajdujemy w książce więcej – przykładem choćby teza, która stanowi, że

Bałkany zaczynają się na wschodnim dworcu kolejowym w Budapeszcie (Budapest Keleti). Nie dajcie się zwieść – wywodzi narrator – środkowoeuropejskiej architektury tego miasta o wieloetnicznych korzeniach ani ostentacyjnemu życiu na modłę zachodnią, temu blichtrowi zachodniej cywilizacji. Budapeszt jest cichym zaproszeniem na Bałkany, strefą przejścia, bramą do krainy wiecznie zmęczonych ludzi, poplątanych wojnami życiorysów, psychicznego kalectwa (s. 47-48).

To z tutejszego dworca wyruszają pociągi jadące na Wschód – do Rumunii, Serbii, także te nieliczne sunące dalej w tych kierunkach; niekiedy także do Polski (choć tu Węgrzy są niekonsekwentni, przypisując te składy już to do dworca wschodniego, już to do zachodniego). Na Keletim ewidentnie czuć klimat Bałkanów, z tymi „konikami” wyglądającymi frajera, któremu wciśnię się fałszywe banknoty, z tymi podróżnymi-niepodróżnymi, którzy chyba tylko udają (a może nawet już nie udają), że dokądś się udają (do niedawna to za ich sprawą na sam peron wpuszczano jedynie osoby z ważnym biletem na przejazd), z atmosferą niby znaną z innych wielkomiejskich dworców, ale jednak wyraźnie inną.

Ale podstawą są tu składy zmierzające do Transylwanii.

Lubię ich zapach – wyznaje autor – mieszaninę olejów z łożysk wagonowych z suszoną papryką. Dobrych kilkaset godzin spędziłem w węgierskich pociągach pędzących na wschód, bo tylko tam mnie ciągnęło. To były normalne wagony z otwieranymi oknami, gdzie człowiek mógł poczuć zapach ziemi, którą odwiedza, zamiast syntetycznego zapachu rzadko czyszczonej klimatyzacji (s. 53).

I nie ma w tym przypadku, lecz świadomie przyjęta strategia, wszak węgierskie pociągi nie są pod tym względem jednorodne.

² J. Kroutvor, *Europa Środkowa: anegdota i historia*, przeł. Jan Stachowski, Izabelin 1998, s. 7.

Dojeżdżające od północnego zachodu do Budapesztu są czyste, nowoczesne i estetyczne, te wyjeżdżające na południowy wschód stanowią dokładne ich zaprzeczenie. Tak, jakby na północ wożono ludzi, a na południe bydło. Jakby potajemnie wdrażano w życie jakiś rodzaj apartheidu. Albo jakby rząd Republiki Węgierskiej obawiał się, że te wszystkie ładne pociągi, kupione za miliony euro, przepadną gdzieś w bałkańskiej czeluści, zionącej biedą i smrodem lub że zostaną do śrubki rozkręcone (s. 77).

W tym duchu, wracając do wagonów zmierzających do Polski, można powiedzieć, że mają one szczęście, bo na ich trasie są Czechy, a część składu kończy bieg w Berlinie lub Hamburgu – bo to ewidentnie z tego powodu skład ten ma wyższy standard...

Stworzenie hasła „Bałkańskie miasta” niewątpliwie wymagało spojrzenia z lotu ptaka, z pewnością też swoistego natchnienia, które pozwoli zgrabnie połączyć jedną ośią bałkańskie antypody geograficzne, ontologiczne i – by tak rzec – nastrojowe. Połączyć w sposób autorski, oryginalny i zapadający w pamięć leżący przy granicy z Serbią Vukovar, czyli „miasto-śmierć”, jego przeciwieństwo – Dubrownik – czyli „miasto-zabawkę” oraz znajdujące się pomiędzy nimi Sarajewo, „będące koszmarnym połączeniem obydwu”, w którym „[z] wielkiego nieszczęścia uczyniono niewyczerpane źródło korzyści finansowych”. I jeszcze osobista puenta: „Dlatego nie lubię Sarajewa, źle czuję się w »odpicowanym« i drogim Dubrowniku. Vukovar z kolei nie jest miejscem, które można polubić, ale miejscem, obok którego nie da się przejść obojętnie” (s. 58-59).

Amatorzy Europy Środkowo-Wschodniej, pogłębiający swą fascynację literacko, wiedzą, że czasem trudno jest odwiedzić niektóre jej części bez odwołania do fraz lub nawet ogólniejszych tez sformułowanych przez jej piewców. Nie mam wątpliwości, że tak też stanie się z niejedną złotą myślą czy barwnym ujęciem, które wyszło spod pióra Radosława Zenderowskiego. Oto kilka innych moich typów, wziętych tylko z jednego, pięciostronicowego fragmentu książki:

„Cała Europa Środkowo-Wschodnia to, tak naprawdę, niewidzialny na mapach fizycznych ocean alkoholu, po którym jedni pływają, inni leżą już na dnie, a jeszcze inni czekają na brzegu” (s. 115).

O bałkańskich taksówkarzach: „Odnosi się wrażenie, że nie zależy im na pieniądzach tak bardzo, jak na zabawie w kotka i myszkę z różnego rodzaju zagranicznymi i krajowymi frajerami. [...] Wszyscy taksówkarze, mimo że tytułują Cię »my friend« są zawodowymi kłamcami” (s. 117).

„Bałkański pasterz rano prowadzi swoje stado na pastwisko, a wieczorem z niego wraca. Przez 10-12 godzin zastyga na łące, w swoim kożuchu i nakryciu głowy, i wydaje mi się, że ten czas wcale nie wlicza się do jego życia. On hibernuje, organizm przestaje się zużywać, czas przestaje istnieć” (s. 118).

„Na Bałkanach chodzi się do fryzjera, bo jest po drodze. Ścinanie owłosienia jest tutaj niejako czynnością towarzyszącą. Jeśli włosów jest zbyt mało, klienci zadawalają się czesaniem i gładzeniem po głowie” (s. 120).

Bałkanów nie da się zrozumieć (s. 169) – wyznaje autor niedaleko końca książki, jakby nieco zrezygnowany. I choć jest to deklaracja jak ze sztambucha antyesencjonalisty (który zresztą dopowiedziałby: „nie tylko Bałkanów nie da się zrozumieć, wszak byty zbiorowe...”), to w stwierdzeniu tym bardziej chodzi o (rzekomą) niemożność zidentyfikowania miejscowej, nazwijmy ją, mechaniki dziejów. „Bo logika i Bałkany to pojęcia cudownie wykluczające się” – pointuje hasło „Rozumienie Bałkanów” narrator, przy czym w domyśle pojawia się wrażenie, że w przypadku innych części świata tego typu wysiłek poznawczy ma cokolwiek większy sens. A jednak coś, mimo wszystko, wychodzi na ten temat spod pióra Radosława Zenderowskiego, który przecież nadaje im jakiś własny stempel odrębności.

„Bałkany Zenderowskie”

Nietrudno zrozumieć fascynację Bałkanami, szczególnie ze strony kogoś, kto stroni od miejsc eksploatowanych turystycznie (jak Dalmacja), preferując tereny zapomniane przez Boga i ludzi; kto podróżuje bocznymi drogami i szlakami kolejowymi trzeciej kategorii, omijając autostrady i magistrale; kto poszukuje nietuzinkowych doznań, z jednocześnie starannie wyselekcjonowaną sferą zjawisk stałych i przewidywalnych, jak świadomość, że pod starym belgradzkim dworcem, którego już nie ma, „Jeleń jest zawsze zimny” (s. 61).

Mają zresztą Bałkany szereg zalet, w tym położenie względem Polski, a szczególnie Cieszyna – rodzinnego miasta autora. Są na tyle bliskie, że można tam dojechać w kilka godzin, i na tyle dalekie, że trudno w te strony jeździć tylko z braku alternatywnych rozwiązań czy „dla hecy”. Oferują ten dreszczyk emocji, który delikatnie selekcjonuje potencjalnych gości, a którego nie zaznasz już „na sterylnym Zachodzie” – ale wszystko to jednak, jak powiedziałby Jarosław Haszke, „w granicach prawa”. Emanują niesamowitą kondensacją krajobrazowo-kulturową różnorodności na niewielkiej przestrzeni: od przyjemnej bryzy znad adriatyckich plaż, przez suchą i zakurzoną Nizinę Panońską, po bałkańskie szczyty, spośród których te najwyższe ocierają się o wysokość trzech tysięcy metrów (czy ktoś jeszcze pamięta, że „Bałkany” to nie tylko kultura, ale też natura, która zresztą była „pierwsza”?); od zagubionych w górach wiosek, miasteczek o rozmiarze „w sam raz”, po metropole, jak Belgrad, Zagrzeb czy Sofia; od cywilizacji śródziemnomorskiej, przez środkowoeuropejską, po otomańską. Przy czym różnorodność ta, jeśli odciąć jej skrajności, daje się – jak pokazuje Radosław Zenderowski – ująć w ramy pewnej całości. Swoje robi także inaczej wyrażona kulturowa specyfika

Balkanów: Polakowi wydają się na tyle podobne, aby nie czuł się tam obco, i na tyle odmienne, aby go pociągały.

Nie mam wątpliwości, że książką swą R. Zenderowski zapisuje się, *nolens volens*, do grona pisarzy – jak Andrzej Stasiuk, Ziemowit Szczerek czy Krzysztof Varga – którzy z opisywania „tej gorszej Europy” uczynili swój znak rozpoznawczy. Z tym zastrzeżeniem, że pierwszy z tego zbioru akurat do Balkanów nie miał (zwłaszcza na początku) szczególnego serca, drugi zdaje się traktować je bardziej jako materiał z zakresu dziennikarstwa politycznego, trzeci zaś – jedynie ocierał się o nie, zaglądając tu czy tam mniej więcej w takim stopniu, w jakim pozwalają na to granice przedtriankańskich Węgier. Myśląc o samym stylu „alfabetu”, podczas jego lektury najczęstsze skojarzenia miałem z twórczością Andrzeja Stasiuka, przede wszystkim z *Jadąc do Babadag*³, z którym R. Zenderowskiego łączy indywidualistyczne smakowanie świata, intrygujące obserwacje, skłonności ku historiozoficznemu ujęciu, swobodny (miejscami naturalistyczny⁴) język, spojrzenie „z czasowej dali”, unikanie miast i antymodernistyczne zacięcie. W niektórych kwestiach, jak wychodzenie do ludzi, ciągoty do zgrywy czy grzebanie w narodowych mitologiach, autor *A(na)lfabetu...* zbliża się do Z. Szczereka, od którego różni go jednak orientacja ideowa, stosunek do obszerniejszych dygresji historycznych i typ wnioskowania (Szczerek, szczególnie na łamach poważnych tytułów publicystycznych, podąża ścieżką o wiele bardziej indukcyjną aniżeli nasz narrator, szczególnie w tych lżejszych ze swych form wypowiedzi).

Czuły węch, wiedza oraz połączenie giętkiej myśli, fantazji i lekkiego pióra, nakierowane na wdzięczny obiekt zainteresowań, ku któremu kieruje się spojrzenie niewolne od krytyki, nierzadko wręcz zjadliwego sarkazmu (u czytelnika siedzącego sobie wygodnie w ciepłych bamboszach wywołującego niekiedy tani śmiech), a jednak przepełnione (bez mała) miłością – oto ingrediencje takiej strawy duchowej, jak *A(na)lfabet...* Tak, zarówno R. Zenderowski, jak i pozostali wspomniani pisarze byli/są na swój sposób zafascynowani opisywanymi przez siebie obszarami, wielokrotnie i namiętnie tam jeździli, i trudno byłoby przyjąć, że za przedsięwzięciami tymi nie kryły się określone potrzeby: z wierzchu czysto

³ A. Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, Wołowiec 2004.

⁴ Tego, mimo wszystko, nie można nie zacytować; co najwyżej, można to zdegradować do rangi przypisu: „Ubikacje na Bałkanach dzielą się tylko na dwie kategorie. Pierwszą stanowią miejsca, o których wszyscy normalni ludzie starają się zapomnieć, złożony tam choćby jedną wizytę. Są to zazwyczaj dziury w podłogach z zarysowanym, w postaci odpowiednich wyźłobień, pasem startowym naprowadzającym, przepraszam za szczegóły, odbyty we właściwe miejsce. Liczba trafień nie wzrasta zazwyczaj powyżej 50%, stąd też odwiedzający te przybytki mają wątpliwą przyjemność zaznajomienia się z dorobkiem i twórczością swoich poprzedników”. Osobom wyglądającym drugiej kategorii toalet, uchylmy rąbka tajemnicy, podając, że stanowią je „tzw. kible pokazowe – nie do użytku. Okazywane są one specjalnym delegacjom (zazwyczaj w składzie międzynarodowym) na dowód tego, że Bałkany są już mniej bałkańskie” (s. 155-156).

estetyczne, gdy jednak przyjrzeć się tematowi lepiej, okazywało się, że również całkiem inne.

No więc pełna zgoda, Bałkany doskonale nadają się do takich terapii. Jadąc tam, można zostawić „cywilizującą się” Polskę za sobą, na kilka tygodni zapominając o istnieniu takiego świata. Można nawet powiedzieć, że nasz narrator ma łatwiej niż Szczerek, gdyż nad polskim widzeniem Bałkanów nie rozpościera się współczesny cień bliskiego sąsiedztwa i wspólnej historii. To właśnie z efektami tych zjawisk autor *Mordoru...* zderzał się w przypadku swych wojaży po Ukrainie, z której opisywani przezeń polscy turyści robili sobie „burdel na kółkach”⁵, lecząc – za pomocą tamtejszego brudu, dezorganizacji oraz wschodniej estetyki i manier – swe narodowe kompleksy. Ale komfort, jaki dają Polakowi Bałkany, również nie jest niewinny. Bo oczywiście można utyskiwać na owoce europeizacji i obrócić w łotrzykowski topos procedury obowiązujące w bułgarskiej policji (s. 44), wpisując je w ogólniejszą uwagę na temat zachowania przedstawicieli bałkańskich służb mundurowych, którzy „zazwyczaj zadają pytania od niechcenia, półgębkiem, w mało zrozumiały sposób, jakby chcieli powiedzieć, że poświęcają komuś mało energii, bo nie jest jej wart” (s. 109-110) – a następnie anegdotę tę zaserwować owemu, żadnemu sensacji osobnikowi siedzącemu sobie wygodnie w ciepłych bamboszach. Trzeba jednak przy tym pamiętać, że nacieszywszy się *A(na)lfabetem...*, przeżywszy literacką przygodę i poprawiwszy sobie samopoczucie, czytelnik ów sięgnie po różnorakie delikcje płynące z polskiej akcesji do Unii, pozostawiając miejscowych sam na sam z przykrymi konsekwencjami „kolorytu”, w którym przyszło im żyć. Tu z kolei etyczną refleksją służy K. Varga, odczuwający niestosowność swego – czyli pisarza podróżującego wygodnym samochodem i spijającego pod nie najgorszymi adresami – przebywania w zabiedzonych wioskach pogranicza węgiersko-chorwackiego⁶.

A jak w schemat ten wpisuje się nasz narrator? Chyba nie najgorzej, skoro pod wpływem bałkańskich doświadczeń, w ramach zrodzonej zeń refleksji przyznał: „Coraz częściej odnosiłem wówczas wrażenie, że, tak naprawdę, to jestem człowiekiem Bałkanów i bardziej pasuję do tamtej części świata niż do pępka Europy Środkowej, czyli »książęcego« Cieszyna” (s. 14). Trzeba nam bowiem pamiętać, że w czasie gdy my, ci „już-nieco-lepsi-Europejczycy”, cieszymy się owymi poakcesyjnymi fruktami, „bałkański człowiek” – także obywatel unijnej Rumunii, Bułgarii, a niech by i Chorwacji (byle nie tej wielkomiejsko-kurortowej) – nadal będzie siedział na swej przydomowej ławeczce i tkwił w bezruchu tak, jak go R. Zenderowski przyobserwował: z tymi wszechmogącymi służbami, swym zmęczeniem, tymczasowością i ogólną beznadzieją.

⁵ Z. Szczerek, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian*, Kraków 2013, s. 122.

⁶ K. Varga, *Langosz w jurcie*, Wołowiec 2016, s. 86-87.

Oczywiście mowa tu wyłącznie o ludziach starych, bo – jak gorzko zauważa autor, na takich właśnie ludzi zorientowany w swych poszukiwaniach – tylko dla nich są Bałkany, „dla młodych jest Austria, Szwajcaria i Niemcy” (s. 111), co w szczególności zdaje się dotyczyć młodych kobiet. „Większość rodzin chciałaby bowiem, żeby ich córka miała lepsze życie z obcokrajowcem i by potem przysyłała jakieś euro do domu” (s. 122). To jeszcze nie Mołdawia, gdzie zdarzały się przypadki wysyłania córek do Europy Zachodniej ze świadomością, że zatrudnienie znajdą w domach publicznych, ale kierunek myślenia jest tu podobny. Albo jak w innej bałkańskiej migawce: „Tutaj żyje się głównie przeszłością, teraźniejszość jest bowiem zbyt niepewna, nieokreślona, ulotna. Przyszłości nie ma i to wiedzą wszyscy. Jeśli jest, to tylko na zachód od Bałkanów” (s. 129-130).

To ostatnie zdanie jest smutną puentą losu Bałkanów, które w wizji tej – jak sobie dopowiadam – miałyby skończyć jako kolejne safari, po którym będą się rozbijać zamożni Europejczycy, lub jako *quasi-turecka kolonia, pardon*, „bliska zagranica”. W tym sensie rzeczona myśl może też być przestrożą w kwestii tego, co czeka słabe regiony Europy, które poszukując w dzisiejszym świecie własnej cywilizacyjnej ścieżki, ryzykują, że skończą jeno jako kraina owych starych ludzi, wysiadujących swój czas na przydomowych ławeczkach i czekających na kolejnych kolekcjonerów niebanalnych obrazów oraz wielbicieli „tradycyjnego” rytmu życia. Może więc warto wsłuchać się w to, co mówił wielki (grecki) teolog prawosławny Joannis Zizioulas: „autentyczna cześć dla tradycji wyraża się w zdolności do jej odtworzenia w nowych, zmienionych realiach”? A może nie warto – bo w opowieściach takich, jak ta R. Zenderowskiego i wielu innych nostalgików, bardziej niż doradztwo w kwestii tego, „jak żyć?”, chodzi chyba o utrwalenie świata sprzed lat dwudziestu, trzydziestu i swojego w nim miejsca – tam i wtedy. A więc bez koloryzowania wspomnień (s. 16). Nawet jeśli materializacja tego pragnienia rzutowała czasem na słowa, które żyjąc dziś, odnoszą się już do innej epoki.

Bałkany dyskutowalne

Jako się rzekło, forma wypowiedzi przyjęta przez Radosława Zenderowskiego znacząco oddziałuje na pracę potencjalnego recenzenta. Nieco go odciąża, a nawet trochę do polemik zniechęca, zarazem jednak wciąż pozostawia mu pewne pole do manewru. Nie wikłając się zatem w ocenianie książki, pozostawiając na boku „akademicki obowiązek”, a jedynie płynąc na fali inspiracji lekturą – warto odnotować kilka kwestii, wokół których można by rozpocząć dyskusję. Choć bowiem jest autor wyśmienitym znawcą nie tylko samych Bałkanów, ale i Europy Środkowej, to jednak można powiedzieć, że jego wycieczki poza sam tytułowy re-

⁷ Cyt. za: M. Kita, *Nie istniejemy bez innych*, „Tygodnik Powszechny” 2023, nr 8.

gion książki bywają ryzykowne. Pisząc o Europie Środkowo-Wschodniej, twierdzi więc, że „tymczasowość [...] trwa tu już od ponad dziewięciu wieków” (s. 35). Myśl ta, wcale zgrabna, brawurowa i chwytliwa, zdaje się jednak abstrahować od tego, że różne tutejsze organizmy – Polska, Czechy, Litwa, Węgry – miawały w tym czasie swoje, bynajmniej nieepizodyczne, momenty prawdziwej świetności, kiedy to patrzono wokół w sposób wolny od tymczasowościowego spaczenia.

Podobnie jest z refleksją na temat kondycji Unii Europejskiej, która to „łajba już dawno zaczęła nabierać wody od wschodnioeuropejskiego ciężaru i towarzysztwa, które zamiast wypompowywać wodę z pokładu woli pić wódkę/rakiję/palinkę czy inny samogon” (s. 153). Moim zdaniem przyczyny zdiagnozowanej kondycji UE leżą nie w opilstwie (zaiste, niezmysłonym) tej ekipy, lecz w innych właściwościach wyczuwalnych u niektórych pasażerów. Do dyskusji nadaje się także kwestia poziomu czytelnictwa wśród Słowian, którzy „kochamy literaturę (choć nie świadczy o tym liczba księgarń i przeczytanych książek)” (s. 114) – gdyż pisząc te słowa, autor jakby zapomniał, że wysoko w europejskiej czołówce plasują się pod tym względem Czechy. Ale to tylko potwierdza tezę, że nawet jeśli nie wiadomo, gdzie dokładnie przebiega granica między Europą Środkową a Bałkanami, to przynajmniej wiadomo, że do tych ostatnich z pewnością nie należą już Czechy. Z samymi tymi kategoriami jest i inny problem, jak wtedy gdy otrzymujemy mini-wykład na temat Słowian (s. 134-135), który ma być osadzony w klimatach bałkańskich, a jednocześnie musi przecież abstrahować od Węgrów, Rumunów, Albańczyków i Greków, którzy Słowianami nie są. Co z tym wszystkim zrobić? Najsensowniej będzie chyba zignorować, pamiętając jednocześnie, że dana myśl, o ile ma być skrzydlata, dysponuje prawem do uogólniania nie tylko na gruncie logiki, ale i geografii.

Im bliżej końca książki, tym wyraźniej znosi autora w stronę kwestii przyszłości Europy, jej kultury i cywilizacji, konfrontowanych z migracją muzułmańską (s. 145-148). Do refleksji tej Bałkany wnoszą swoje trzy grosze, przede wszystkim ze względu na „swoich” muzułmanów, zamieszkujących Bośnię, Albanie, Kosowo oraz niemałe fragmenty innych państw regionu, a (co najmniej) symbolicznie – również ze względu na funkcję korytarza dla Turków zmierzających tędy na Zachód i na pozostawione na miejscu dziedzictwo otomańskie. Eksponowany przez autora argument o presji demograficznej ze strony muzułmanów, stanowiący kluczowy punkt dyskusji nad tożsamością współczesnej i przyszłej Europy, jest znany i niebagatelizowany, tak więc dziś – jeśli zastąpić omówienie *A(na)lfabetu...* rozważaniami natury futurologiczno-cywilizacyjnej – nie wnosi już wiele do zrozumienia problemu, nie mówiąc o jego rozwiązaniu. Podobnie jak kasandryczne stwierdzenia o rzekomo „upadających nieuchronnie państwach” Zachodu (s. 148). Fakt, Stary Kontynent, w kształcie, jaki znamy z powojennych dekad, odszedł już do lamusa dziejów, podczas gdy pytanie o to, co się zdarzy w przyszłości, wciąż pozostaje otwarte – nic zatem dziwnego w tym, że obie okoliczności,

na zasadzie znanej prawidłowości psychologicznej, poważnie niepokoją, i to nie tylko zwolenników prawicy. Tymczasem, trawestując znany slogan nacjonalistów, można powiedzieć, że Europa albo będzie kolorowa, albo nie będzie jej wcale. To samo – tylko bardziej – odnosi się do Bałkanów.

W książce jest też kilka raczej potknięć niż błędów, w zasadzie – drobiazgów. Budapeszteński dworzec Nyugati nie leży na południowy, lecz na północny zachód od dworca Keleti (s. 53). Po polsku nazwę macedońskiego miasta pisze się „Ochryda”, o czym autor wie, i wiedzy tej daje dowód w jednym miejscu (s. 116), co oznacza, że w innym (s. 117) po prostu chochlik zmienił zapis na ten przez samo „h”. A może to jednak nie chochlik (s. 121)? A może jednak on (s. 167, 171)? Wydaje się też, że R. Zenderowski nie mógł być, jako 24-latek, na dworcu kolejowym w Plešivcu w Czechosłowacji (s. 30), gdyż wtedy (w 1998 r.) państwa tego już nie było... A może w jego świecie państwo to wciąż trwa – dylemat narasta wraz z postępami lektury? Odpowiedź otrzymujemy dalej, gdzie autor, wyłożywszy swoją argumentację, wyznaje: „Mam zaszczyt być w gronie pięciu polskich profesorów z dziedziny nauk społecznych, którzy nie uznają rozpadu Czechosłowacji” (s. 68). Wygląda więc na to, że nie ma tu błędu, jest prowokacja albo jakiś inny zabieg.

Bo i owszem, „alfabet”, jak przystało na dzieło literackie, bywa prowokujący. Raz autor utyskuje na „faszystowskich pograniczników austriackich” (s. 61) albo na „często srogie, wredne, wręcz sadyistyczne” kontrole na granicy w Cieszynie, w tym na kontrolę osobistą, której sam – jako cieszynianin! – doświadczył (s. 64-65). A kilka stron dalej rzuca, że „całe to [współczesne] Schengen jest o kant dupy potłuc, bo zabija w ludziach świadomość geograficzno-historyczną” (s. 68) – jakby w oderwaniu od świadomości, że wspomniany faszyzm czy sadyzm wpisane są w samo istnienie granic państwowych, szczególnie tych oddzielających państwa o wyraźnie różnych zasobach ekonomicznych i pozycji politycznej. Tak się składa, że w pełni podzielam upodobanie Radosława Zenderowskiego do geografii i historii (s. 65), jak również do kulturowej specyfiki poszczególnych państw i regionów, a wkraczając w to, co „nie moje”, i odkrywając kolejne warstwy administracyjno-geograficzne, wciąż odczuwam pewien rodzaj poruszenia. Wszystkie te zjawiska wyraźnie jednak oddzielam od kontroli na wewnątrz europejskich granicach, nazbyt często będących wyrazem opresyjności państwa czy różnorodnych deficytów samych funkcjonariuszy pozostających w jego służbie. Wydaje się, że dziś, piętnaście lat po przystąpieniu Polski do strefy Schengen, nie tylko najmłodszym pokoleniom należy zalecać przejazd przez granicę polsko-ukraińską, bywa że w pakiecie z kilkunastogodzinnym czasem oczekiwania na odprawę. Tak jak autor boleję nad zanikiem wśród ludzi „świadomości geograficzno-historycznej”, ale też nie sądzę, aby niegdysiejszy reżim graniczny miał być antidotum na ludzką ignorancję, jeśli nie jest w stanie zaradzić jej sam pobyt danej osoby za granicą,

zanurzenie się w to, co „inne”. Takich „prowokacji” (w cudzysłowie lub bez) jest w *A(na)lfabecie...* więcej.

Od innej strony patrząc, książce niekiedy przydałby się uważniejszy redaktor, który wyeliminowałby powtórzenia, uspójnił wywód i czasami porozcinał go na odrębne akapity. Jak się bowiem wydaje, sam autor tak bardzo zatracił się w podjętym wątku, tak wiele treści pragnął zawrzeć w jednym haśle, które jednocześnie zapewne nie mogło być przydługie, że czasami powstawał z tego niemalże strumień świadomości. Albo zasada: jedno hasło – jeden akapit – dwie strony. A może tak po prostu miało być, może takie to pióro i prawo twórcy? Może redaktor ów niczego by tu nie poprzecinał, gdyż – również na zasadzie prowokacji – nie pozwoliłby na to sam autor, twierdząc na przykład, że powtórzenia służą lepszemu utrwaleniu się treści? Zamiast zgadywać, warto przywołać słowa narratora: „Struktura tej książki opiera się na analfabecie. Uznałem, że współczesny odbiorca trudniej tym sposobem przyswoi sobie jej treść” (s. 16). Profesorze, udało się!

Bałkany akademickie inaczej

We wszystkich tych przypadkach, jak omawiana tu książka, naukowcy mają do czynienia z tym samym dylematem: czy tego rodzaju zapiski odstawić, niekiedy wręcz z jakąś odrazą, bo nazbyt frywolne, podane „na wesoło”, pozawarsztatowe itp., czy jednak potraktować nieco poważniej. Moim zdaniem autor *A(na)lfabetu...*, zapewne nieświadomie, nawiązuje na jego kartach do idei dawnych uniwersyteckich wykładów, które miały postać Opowieści – powielekroć przemielonej w głowie, po części improwizowanej (a więc niepowtarzalnej, choć z powtórzeniami), niewolnej od twórczego chaosu bądź dygresji. Może i nie zawsze mieszczącej się w zakrojonych ramach (które nie były Krajowymi Ramami Kwalifikacji), ale też takiej, która nie była wodolejstwem czy zapchajdziurą, lecz wypowiedzią następnie nierzadko spisywaną, redagowaną i ogłaszaną drukiem.

Mówiąc poważniej, raz jeszcze należy podkreślić, że nie chodzi tu o absolutyzowanie intelektu i zmysłu obserwacyjnego profesora-włóczęgi, co jednakże tylko podnosi nam wagę pytania, czy notatki z miejsc, w których był, rozmawiał, biesiadował i sypiał nasz bałkanolog, nie zasługują aby na więcej niż, nie przymierzając, kolejne paternalistycznie potraktowane blogowe zapiski obywatela-celebryty. Nawet jeśli w niektórych swych konstrukcjach przeszarżowywał i nawet jeśli gdzieś popadał w grafomaństwo, co (chyba jednak nazbyt skromnie) zasugerował na wstępie książki (s. 17), to jednak stworzył przy tym pracę nietuzinkową. Krótko mówiąc, czytając tę *quasi*-encyklopedię, warto niekiedy przymrużyć oko, ale nie za bardzo, by nie zamknąć się na treści ważne.

Niektórzy powiedzą, zapożyczając przy tym poetykę od autora, że „staremu Zenderowi” znudziło się robienie prawdziwej nauki, tak więc przesiadł się był na anegdotyczno-awanturniczą eseistykę – ale sądom takim chyba nie warto poświęcać nadmiernej uwagi. A jeśli już, to uprzednio wypada wkomponować je w pytanie, czym dziś ta „prawdziwa nauka” jest, i w odpowiedź na pytanie, czy książki tej nie przeczyta więcej osób dla tematyki nieprzypadkowych, niż przeczytałoby poważny artykuł naukowy, choćby i za te dwieście czy trzysta ministerialnych punktów. Rzeczy takie jak *A(na)lfabet bałkańskiego (u)czucia* tworzy się, będąc człowiekiem intelektualnie pogłębionym i uczciwym, literacko co najmniej niezłe wyrobionym, instytucjonalnie zaś wolnym od projektowo-parametryzacyjnego nawisu. I oddanym pasji – gdy jedyny przymus, jaki powoduje twórcą, to wewnętrzny imperatyw poznania i pisania. Tak, poznania i pisania! Nie każdy profesor ma taki gest.

Co do mnie, wiele obserwacji Radosława Zenderowskiego, gdy już oddzielę je od prowokacyjnej warstwy stylistycznej, przyjmuję bez (większych) zastrzeżeń, o wielu z braku wiedzy nie mogę się wypowiadać, o wielu (również tych utrzymanych w duchu zgrywy) chętnie dowiedziałbym się więcej, z nielicznymi równie chętnie bym polemizował. Wszystkie natomiast potraktowałbym jako świetny powód do tego, by zorganizować niesztampowe seminarium: zasiąść wspólnie w jakiejś bezpretensjonalnej, zakurzonej czardzie nad palinką, postać na cieszyńskim brzegu Olzy z morawskim winem w rękę albo też wątki te wkomponować, niczym „Jelenia” w dłoń, w umówione przejście kolejowym mostem nad Dunajem w Nowym Sadzie.